ŚWIATŁO

Rok VII. Bytom G.-Sz., 1. Stycznia 1893. **Nr. 1.**

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste Nr. 81) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Szlązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 20 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

NIEWIDOMY ŚWIADEK.

Niedawno żył w małej mieścinie Upton, położonej w angielskiem hrabstwie Worcester, stary niewidomy skrzypek, nazwiskiem Wiljam Gilpin, utrzymujący się jedynie z gry na skrzypcach.

Na wszystkich jarmarkach w okolicy zawsze można było spotkać starego Gilpina, wygrywającego ku uciesze zgromadzonych tłumów wesołe, lub stósownie do żądania, smętne swe pieśni. A choć gra pozostawiała wiele do życzenia, nieszczęśliwe jego kalectwo wzbudzało powszechne współczucie. Gdy posłyszano zwykłe wołanie: »podarujcie jeden grosik biednemu, ślepemu grajkowi!« — sypały się pieniążki w jego kapelusz, poczem nieodmiennie rozlegało się życzenie: »niech Bóg wam wynagrodzi stokrotnie!«

Ale też na jałmużnie i na współczuciu kończyło się wszystko. Nikt się nim nie opiekował, nikt się nie troszczył o niego. Sam jeden był na zasłoniętym przed jego oczami świecie, bez rodziny, bez krewnych. Nie posiadał nic więcej, prócz podartej odzieży na sobie, starych skrzypiec i wiernego czarnego pudla, jedynego przyjaciela, z którym dzielił się zawsze, chociażby ostatnim kawałkiem chleba i który, prowadząc go po uciążliwych nieraz drogach, strzegł go od wszelkich niebezpieczeństw.

Podczas jednego pięknego wrześniowego wieczoru, gdy księżyc w pełni rozsiewał urocze swe blaski, powracał stary Wiljam z jarmarku ze wsi Tavistock napowrót do Upton.

Cała podróż wynosiła zaledwie trzy angielskie mile, lecz droga prowadziła przez pagórkowatą, lesistą okolicę. W jednem miejscu, prawie na połowie drogi pomiędzy wsią i miasteczkami, wyniosłe pagórki tworzyły wąwóz, z szemrzącym wesoło strumykiem, przez który rzucono zwykły drewniany mostek.

Doszedłszy do wąwozu, niewidomy postępował zwykłym sobie ostrożnym krokiem, lecz bez żadnej obawy.

Miejsce to znanem mu było dobrze; przechodził przez nie już tyle razy, a zresztą ufał zupełnie swemu psu. Wiedział, że wierny jego przewodnik zawsze przeprowadzi go szczęśliwie, chociażby na drodze leżał kamień lub drzewo wywrócone burzą.

Stare swe skrzypce, owinięte w ceratę, niósł stary Wiljam na plecach, w prawej zaś ręce trzymał długi i cienki kij, służący mu za podporę podczas drogi. Czasami, co zresztą rzadko się zdarzało, posługiwał się tym kijem dla rozpoznania miejscowości, jeśli ta nie była mu zupełnie znajomą.

Do mostu jeszcze nie doszedł, lecz według rachunku musiał być już niedaleko od niego.

Drogą nikt nie szedł i zdawało się, jakoby cała okolica wymarła. Żaden odgłos znikąd nie dochodził, a od godziny już Gilpin nie słyszał ani ludzkiego głosu, ani turkotu wozu, a tem mniej tententu konia.

Goście jarmaczni i handlarze z Upton, odwiedziwszy Tavistock dla przyjemności lub interesów, dawno już do Upton powrócili i, jak zwykle, niewidomy grajek był ostatnim na drodze... Z konieczności wypływało, że posuwać się naprzód mógł tylko bardzo powoli i ostrożnie, taktyką więc jego było czekać, dopóki cały tłum nie wyruszy, gdyż im więcej droga była pustą, tem mniej groziło mu niebezpieczeństwo przejechania przez wozy, stratowania przez konie, lub też poturbowania przez pijanych przechodniów.

W ten więc sposób wędrował nieszczęśliwy ślepy grajek, podczas jasnej księżycowej nocy, która dla niego równie ciemną, czarną i smutną była, jak całe jego życie...

Nagle zaczął pies jego z cicha warczeć. Byłto znak, doskonale zrozumiały dla Gilpina.

— Aha, są ludzie na gościńcu, uważajże dobrze, Karo, i zachowaj się grzecznie.

Pies odpowiedział mruknięciem, jakby zrozumiał dane sobie polecenie i przestał się odzywać.

Zaraz potem wydoskonalony słuch Gilpina rozróżnił kroki idących za nim dwóch mężczyzn, którzy niezadługo wyprzedzić go byli powinni. Odgłos jednych kroków zdradzał chód ciężki i leniwy, drugich zaś, przeciwnie, lekki i elastyczny.

W chwilę później mógł starzec rozróżnić głosy dwóch mężczyzn.

— Nie mogę przystać na to, sir, — mówił widocznie jakiś wiekowy człowiek, — prawdziwie przykro mi to bardzo, ale nie powiedziałeś mi pan całej prawdy. Wiem z pewnością, że więcej masz pan długów, niżeli twierdzisz, i jeżelibym dłużej chciał czekać, mógłbym łatwo wszystko stracić!

— Pomyśl jednakże, sir, jakie to skutki pociągnie za sobą! — odezwał się drugi, ostry głos.

— Skutki? Dla kogo?

— Dla mnie!

— Tak, dla pana? Mnie zaś, to nic nie obchodzi.

— Czyż to nie pan jedynie wprowadziłeś mnie w całe to błoto?

Zapytany dostał silnego napadu kaszlu i nie mógł odpowiedzieć.

Podczas tej rozmowy zbliżyli się do Gilpina i byliby go minęli, nie zwracając na niego uwagi, gdyby on sam się im nie przypomniał.

— Podarujcie jeden grosik biednemu, ślepemu grajkowi, — odezwał się zwykłą swą prośbą.

— Oho, kto tu jest? — zawołał ostry głos.

— Wiliam Gilpin, niewidomy od dwudziestu pięciu lat i...

— To idź na jarmark żebrać!

— Powracam ztamtąd właśnie, ale mi się dziś nie poszczęściło, bo żniwa źle wypadły i u rolników bieda... Ulitujcie się panowie nad biednym ślepym!...

— Płacę roczną składkę na ubogich i z zasady nie daję nigdy jałmużny.

— Niech Wasza Cześć odstąpi raz od swoich zasad przez litość nademną, a Pan Bóg to tysiąckrotnie wynagrodzi!

— Pewny jesteś tego, stary? — pomruczał człowiek ostrym głosem, upuszczając monetę w pokornie trzymany kapelusz. — Daję ci sztukę sześcio-pensową i spodziewam się sto tysięcy takich wkrótce otrzymać.

— Daj to wielki Boże! — zawołał grajek, — może i drugi gentleman ulituje się nad biednym ślepym?

— Na jarmarku w Tavistock rzuciłem ci już w kapelusz pół pensa — odezwał się drugi głos, — to ci powinno wystarczyć aż do nowego jarmarku.

— Proszę Waszą Cześć mi wybaczyć, lecz nie wiedziałem nic o tem... Biedny ślepy nie może widzieć nawet swoich dobroczyńców!... ale zdaje mi się, że gentlemani już poszli. W drogę, Karo!

W rzeczy samej, jeden z tych nieznajomych szepnął do drugiego:

— Chodźmy, sir! Trzeba nam pospieszać, jeżeli chcemy przed 10 dostać się do Upton.

Potem szybko się oddalili i wkrótce odgłos ich kroków i rozmowy zginął w podmuchu wiatru, tajemniczo szemrzącym pomiędzy liśćmi drzew i krzaków, tworzących gąszcz nie do przedarcia się.

Gilpin wędrował dalej powoli.

Przeszło tak z dziesięć minut od rozstania się jego z nieznajomymi i słyszał już biedny kaleka szum wezbranego strumyka, gdy nagle rozległ się huk wystrzału, powtórzony przez wszystkie echa wąwozu.

Wtedy zdawało się niewidomemu, że słyszy jęk i głuche upadnięcie ciężkiego ciała na ziemię.

Później zrobiła się zupełna cisza.

Wystraszony Gilpin przyciągnął sznurkiem psa do siebie i zatrzymał się w pośrodku drogi. Karo nadstawił uszów, wietrzył coś w powietrzu i zaczął po cichu skomleć.

— Niech wszechmocny Bóg ulitować się raczy nad grzesznikami! — zamruczał stary; — że tu się stało jakieś nieszczęście, to mógłbym na to przysiądz. Leżeć, Karo! wstydziłbyś się przecie! Idźmy w imię Boże! Obaj, mój piesku, jesteśmy tacy biedni i tacy nędzni, że najbardziej nawet zatwardziały złoczyńca nic nam złego zrobić nie zechce.

Poszli więc dalej. Coraz wyraźniej dolatywało szemranie strumyka, zatem zbliżali się coraz więcej do mostku.

W chwili jednakże, gdy Gilpin chciał już postawić nogę na deskach, Karo szarpnął się i nie chciał kroku dalej postąpić. Wyjąc, skomląc, usiłował wszelkiemi sposobami odradzić swemu panu wejście na ów mostek.

Grajek był w trudnem położeniu, gdyż ufał zupełnie instynktowi swego wiernego towarzysza. Wyciągnął więc naprzód długi swój kij i, macając, usiłował się przekonać, czy czasem most nie uległ jakiemu uszkodzeniu. Robił to z wielką wprawą i po kilku sekundach upewnił się, że bezpiecznie iść może tak daleko, jak tylko kijem dosięgnąć jest wstanie.

Wszedł tedy na most, ciągnąc za sobą gwałtownie opierającego się psa.

— Naprzód, Karo! — wołał już z gniewem, — czegóż ty się boisz, głupi piesku, przecież most, zdaje się, stoi jeszcze!

Znowy wyciągnąwszy kij, macał nim na wszystkie strony.

Nagle natrafił na jakiś miękki przedmiot. Zdawało mu się, że to worek pełen zboża, który spadł z któregoś wozu.

Karo, skomląc i przeraźliwie wyjąc, wydzierał się, co tylko miał siły, lecz napróżno! Władca i pan jego energicznie ciągnął go za sobą.

— Hoho, a to co takiego? — zawołał Gilpin przerażony, gdyż zdawało mu się, że dosłyszał ludzki oddech blisko siebie.

W tejże samej chwili, gdy wyciągał kij w tym kierunku, silna jakaś ręka odtrąciła go na stronę.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! Czy tu jest kto na moście? — zawołał Gilpin, śmiertelnie strwożony. — Mój dobry panie, ktokolwiek jesteś, nie rób mi nic złego, jestem biedny, ślepy grajek z Upton, nie widzę nic od dwudziestu pięciu lat, i...

— Cicho bądź, stary, głupcze! — odezwał się gniewliwy, ostry głos, po którym Gilpin natychmiast poznał nieznajomego ze sztuką sześciopensową. — Dosyć tego gadania, ruszaj naprzód.

bezpieczny. — Dobry panie, kiedy mój pudel nie chce.

— To palnij go w łeb. Chcesz może, żebym ja to zrobił?

— O nie, nie, już ja go wyuczyłem, żeby ostrzegał o każdem niebezpieczeństwie, a kiedy nie chce przejść przez most, to boję się, czy on czasem nie jest uszkodzonym; może brakuje jakich dyli, albo porobiły się dziury, przez które mógłbym wpaść do wody i zabić się!

— Uspokój się, most jest cały i bezpieczny.

— Ale tu coś leży, dotknąłem się niedawno.

— Niech cię to nic nie obchodzi.

— A co to jest takiego?

— To jest... to jest stara zmurszała barjera od mostu, którą pewno jaki pijany człowiek oderwał i rzucił.

— Tak? a to dopiero głupi mój pies, żeby się bać kawałka drzewa! Chodź, piesku, chodźmy.



Przy kądzieli i krośnach w dawnych czasach. (Obacz obj. rycin na str. 16.)

Lecz Karo nie dał się uspokoić i wciąż wyrywał się, skomląc na różne tony.

Nieznajomy roześmiał się, lecz śmiech jego brzmiał dziwnie i niemiło.

— Kiedy tak, to zaraz uspokoję twego psa i wrzucę ten kawał drzewa do wody.

Gilpin słyszał, jak ciągnięto jakiś ciężar po moście, potem jak z wielkiem wysileniem podniesiono go aż na poręcz, a nakoniec jak go rzucono do wody i jak ta, rozprysnąwszy się, opadła kroplami napowrót.

Podczas tego Karo zdawał się odchodzić od siebie z przerażenia. Wyjąc ciągle, przytulił się do swego pana, którego również zimny dreszcz przebiegał, gdy się wsłuchiwał w ten szmer tajemniczy.

— Już po wszystkiem! — odezwał się nieznajomy ostry głos. — Do licha, zmęczyłem się, ten kawał drzewa był cięższy, niżeli się spodziewałem! Jeżeli ten obrzydliwy pies jeszcze się bać będzie, to uwiąż mu kamień u szyi i wrzuć go do potoku.

— Niech Bóg wam wynagrodzi tysiąckrotnie — rzekł grajek. — Chodź piesku, chodź do domu.

Karo skomlał i warczał wprawdzie jeszcze, lecz nie opierał się już więcej, aby przejść przez most. Przeciwnie, zdawało się, że życzy sobie jaknajprędzej porzucić to miejsce.

Po chwili uczuwszy pod nogami twardy grunt, niewidomy znacznie się uspokoił, a uszedłszy z jakie sto kroków od owego nieszczęsnego mostu, odetchnął swobodniej i pogrążył się w zadumie.

— Jakaś straszna i bezbożna zbrodnia popełnioną tam została — mruczał sobie po cichu. Z tych dwóch gentlementów, co mię wyminęli na drodze, jeden zastrzelił drugiego i trupa jego wrzucił do wody. Moje nieszczęśliwe kalectwo stało się tym razem dla mnie prawdziwem szczęściem, gdyż gdybym to zabójstwo zobaczył, to z pewnością morderca zabiłby mnie także, żeby się pozbyć niepotrzebnego świadka. Pokładam w Bogu nadzieję, że złoczyńca nie ujdzie zasłużonej kary.

Około północy dopiero, dowlókłszy się do Upton, przeszedł opustoszałe ulice, dążąc do swego mieszkania na przedmieściu, czyli do izdebki wynajmowanej od krawca, łatającego podarte odzienie.

Rano następnego dnia opowiadał niewidomy krawcowi i jego żonie przygody wczorajszej swej podróży, a w szczególności spotkania się z nieznajomym na moście w wąwozie. (Ciąg dalszy nastąpi.)

NOWY ROK.

Nowego roku czas każe winszować,
Więc się zdobywam na powinszowanie;
Daj Panie Boże, w tym się tak zachować,
Iżby się nasze spełniło żądanie.
I spełni pewnie, kiedy w każdym kroku
O sobie będziem myśleć, nie o roku.

Bo cóż rok? Bożym czas zmierzony darem,
Miejsce i pora naszego działania:
Nie dni, lecz czynów dzielmy go wymiarem,
A czynów plennych prawego starania:
Wówczas, jak wieniec kłosami uwity,
Da plon szacowny, da plon znamienity.

Przeszły tysiączne, przejdą i następne,
Szala je wieczna, jak zmierzy, tak ziści:
Z nas plenne, z nas czcze, prawe, lub występne,
Skutek użycia, czucia i korzyści:
Odmiana, trwałość, nieczynność, ochota,
Da poznać, w czem jest występek, lub cnota.

Lecz Sprawca, który rzeczy mierzy trwale,
Spuszcza wzrok względny na tych, co sprawieni:
Nie jest człowieka, co jest doskonale,
Sobą nikczemni, Sprawcą orzeźwieni,
Czekajmy losu. Najwyższa Istoto!
Karzesz z odrazą, nagradzasz z ochotą.

Ig. Krasicki.

Dziesiąte i największe prześladowanie chrześcian
pod cesarzem Dyoklecyanem.

Od samego początku przez 250 lat chrześcianie ciągle byli prześladowani, ciągle musieli cierpieć. Ziarnko gorczyczne Kościoła bożego ciągle było podlewane krwią męczenników, lecz właśnie dla tego ziarnko wyrosło we wielkie drzewo i przyszedł czas, w którym narody miały wypocząć i rozwijać się w cieniu tego drzewa. Bóg chciał wysłuchać modłów Kościoła i dać mu pokój, lecz jakoby piekło chciało jeszcze raz wytężyć wszystkich sił, aby przeszkodzić woli boskiej i zniszczyć dzieło boskie.

Mimo prześladowania, Kościół się wzmagał, a chrześcianie już nawet publicznie występowali. Budowano nowe kościoły, powiększano stare, budowano mieszkania dla biskupów, na nabożeństwa uczęszczano otwarcie. Wielu pogan traciło niechęć ku chrześcianom, wielu naczelników prowincyi sprzyjało chrześcianom. Wielu chrześcian było urzędnikami wysokimi, a rząd był z nich kontent, ponieważ byli sumienni, i nie żądano od nich, aby byli obecnymi na publicznych ofiarach pogańskich, bo wiara i sumienie im tego zakazywały. Nawet przy dworze cesarskim było wielu chrześcian urzędnikami, których bardzo szanowano. Lecz nim Kościół uzyskał spokój, musiał jeszcze przejść okropne prześladowanie.

Cesarz Galeriusz pochodził ze stanu wieśniaczego i po matce odziedziczył głęboką nienawiść do chrześciaństwa, ponieważ chrześcianie nie uczestniczyli w ofiarach pogańskich. Namawiał ciągle głównego cesarza Dioklecyana, aby tenże odnowił dawniejsze przepisy przeciw chrześcianom. Lecz ten nie miał do tego ochoty, ponieważ wiedział, że państwo najwięcej na tem cierpi, bo już wszędzie zbyt wielu było chrześcian. Wtenczas Galeriusz wymyślił djabelski sposób, aby zmusić Dioklecyana do prześladowania chrześcian. Przebywał właśnie w Nikomedyi w odwiedzinach u Dioklecyana i mieszkał z nim w jednym pałacu. Kazał dwa razy w pałacu podłożyć ogień i posądził o to chrześcian.

Było to roku 303 po narodzeniu Chrystusa Pana. Udawał, że zaraz odjedzie, aby go żywcem nie spalono. Czego nie wymogły namowy u Dioklecyana, to sprawił strach. Wpadł w łapkę, jaką mu stawił Galeriusz, który pozostał jeszcze dłużej, aby się cieszyć prześladowaniem chrześcian.

W pierwszy dzień roku 304 udał się naczelnik cesarskiej straży przybocznej z pierwszymi oficerami wojska do wielkiego kościoła chrześcian, który stał na pagórku tak, że go można było widzieć z pałacu cesarskiego. Cesarscy tyranowie stali obadwaj przy oknie i patrzeli z radością, co się działo. Oficerowie wyłamali drzwi kościoła, weszli do niego, spalili księgi święte, zniszczyli sprzęty do nabożeństwa przeznaczone i robili różne bezeceństwa. Galeriusz chciał najpierw kazać spalić kościół, lecz Dioklecyan kazał kościół zburzyć, obawiając się, aby się ogień nie rozszerzył na inne budynki.

Na drugi dzień ogłoszono dekret, aby zabobon chrześciański został zupełnie wyniszczony. Kościoły miały zostać zburzone, a księgi święte spalone, chrześcianie mieli zostać pozbawieni wszelkich urzędów i skazani na śmierć bez różnicy stanu i stopnia. Chrześcian przed sądem skarzyć miało być wolno każdemu, lecz chrześcianom nie było wolno skarzyć kogo innego, nawet choćby ich okradziono lub inną krzywdę im wyrządzono, choćby im żony gwałcono. Biskupi mieli zostać okuci w kajdany i różnem dręczeniem nakłonieni do pogaństwa.

Zaczęły się zbrodnie, jakich jeszcze świat nie widział, ponieważ trzej cesarze Dioklecyan, Galeriusz i Maxymian, jeden więcej jak drugi byli okrutnymi dla

chrześcian. Mianowicie Galeriusz srożył się po szatańsku. O życiu tego łotra i o cierpieniach chrześcian w owym czasie, pisze Euzebiusz, uczony Kościoła:

»Galeriusz złem życiem przewyższył prawie wszystkich swych poprzedników, uciskał i możnych i lud okropnie, odbierał kobietom i dziewicom honor i życie, był czarodziejem i oddawał się podobnym sztukom, pijakiem był i grzeszył wszelkiemi namiętnościami, największym w świecie był tyranem. Męczarnie, jakie znosili chrześcianie, są nie do opisania. Rozdzierano im całe ciało gwoździami i ostremi muszlami, póki nie umarli. Kobiety wiązano za jednę nogę i maszyną podnoszono, głową wisiały na dół i okropnie cierpiały. Innych wiązano nogami do dwóch drzew, które maszynami zbliżono do siebie, potem puszczono drzewa, a członki ludzkie w okropny sposób się rozdzierały. Takie rzeczy działy się nie przez krótki czas, lecz przez wiele lat i w całym kraju.

Czasem zabijano naraz więcej jak dziesięciu, czasem więcej jak dwudziestu, trzydziestu, sześćdziesięciu. Innym razem ginęło w jednym dniu 100 osób, mężczyzni, kobiety, dzieci, przed śmiercią okropnie dręczeni. Ja sam widziałem w Egipcie, jak często w jednym dniu naraz wielu zabijano, jednym głowy ucinano, innych w ogień wrzucano. Instrumenta mordercze tępiały w końcu, łamały się i stały się nie do użycia, katom sił brakło i musieli się luzować. Lecz widzieliśmy podziwienia godną żądzę i boską moc i gotowość, nawet pragnienie śmierci u chrześcian, którzy wierzyli w Chrystusa ukrzyżowanego. Nic ich nie mogło przymusić do tego, aby ofiarowali fałszywym bożkom; skoro na jednych spełniono wyrok, to już drudzy spieszyli przed sędziego i wyznawali przed całym światem, że wierzą w Chrystusa, nie zważając na dręczenie i męczarnie, na które się wystawiali. Okazali niewzruszoną wiarę w Chrystusa Pana, jego objawienie i przykazania, przyjmowali wyrok śmierci z niebiańską radością, wesołością i z uśmiechem, nawet śpiewali do ostatniego tchu życia Bogu wszechmocnemu na chwałę pieśni pochwalne i dziękczynne. Jakkolwiek męczennicy zasługują na podziw, to jeszcze większej chwały godni są ci, którzy stali nad innymi bogactwem, urodzeniem, urzędami, nauką, a którzy to wszystko porzucili dla prawdziwej religii i wiary w Zbawiciela naszego, Pana Jezusa Chrystusa i woleli dla niego być ubogimi, pogardzonymi, wygnanymi, prześladowanemi, umęczonymi. Czy mam ponowić pamięć tych, których w Antyochii upieczono na kratach na ogniu, nie aby ich zabić, lecz aby ich powolnie dręczyć? Czasem ich powieszono głową na dół, pod nimi zapalono mały ogień, aby powoli się udusili. Innych rozpinano na torturach i rozciągano im członki, albo ich przywiązywano do słupa i bito rzemieniami, na których końcach były ostre haki, przez co im ciało od kości odrywano. A czasem byli to młodzieńcy w kwiecie wieku, którzy okazywali nadzwyczajne męstwo dla wiary Zbawiciela. Jeszcze więcej podziwiano tych, których najpierw dręczono, potem bito a w końcu rzucano pomiędzy dzikie zwierzęta, które przedtem doprowadzano do wściekłości rozpalonemi żelazami. Cudowna była stałość, z jaką szlachetni mężowie, niewiasty i dziewice znosili napaści zwierząt. Ja sam na to patrzałem i podziwiałem boską moc Zbawiciela, Jezusa Chrystusa, jaką udzielał męczennikom za Niego świadectwo dającym. Bez łaski boskiej nie byliby tego wytrzymali. Przez długi czas zwierzęta dzikie, nie śmiały się zbliżyć do ludzi świętych, lecz rzucały się na tych, którzy szczuli je na męczenników. Świętych, którzy stali obnażeni i klaskali w dłonie według rozkazu, aby ich zwierzęta zobaczyły, nie ruszyły zrazu, lecz kiedy się ku nim puściły, to jakoby je boska moc powstrzymywała. Tak się działo przez pewien czas i wywoływało podziw widzów, czasem trzy zwierzęta puszczono na jednego męczennika, a żadne nic mu zrobić nie chciało. Święci okazywali przytem cudowną cierpliwość, męzką niewzruszoną stałość młodego du-



Z bitwy pod Kulmier podczas wojny francuzko-niemieckiej. (Obacz objaśnienia rycin na str. 16.)

cha i ciała. Stał młodzieniec nie liczący jeszcze dwudziestu lat bez więzów, ręce wyciągnął w krzyż i modlił się do Boga z męztwem nieustraszonem i niezłomnem, ani o włos nie ruszył się z miejsca, chociaż niedźwiedzie i tygrysy wściekłe chodziły na około niego, każdej chwili grożąc go pożreć; lecz cudowna siła niejakoś zamykała im paszcze. Innych pięciu rzucano przed byka rozwścieklonego, który dwóch pogan rogami rzucił w powietrze, potratował i na pół żywych zostawił. Tylko do świętych męczenników nie śmiał się zbliżyć, chociaż z wielką wściekłością się ku nim zwracał, deptał nogami, rzucał się na tę lub ową stronę, jakoby chciał kogo uderzyć, rozpalonem żelazem rozjuszony parskał śmiercią i zniszczeniem, lecz opatrzność boska go wstrzymywała; kiedy nic im nie zrobił, inne zwierzęta puszczono na nich. W końcu mieczem ich ścinano i w morze wrzucano; poganie byli gorszymi niż zwierzęta.«

Kalendarz u różnych ludów.

Istnieją trzy naturalne jednostki czasu: obrót ziemi dokoła osi, obrót księżyca dokoła ziemi i ziemi dokoła słońca; przeciętną wartość tych jednostek stanowią: 24 godz., 29 dni, 12 g. 44 m. 29 sekund (dla księżyca) i nakoniec 365, 24 setne dni — dla słońca. Liczby te wskazują dość wyraźnie całą niewspółmierność owych trzech jednostek, które co więcej, są od siebie całkiem niezależne. Od czasów najdawniejszych starano się je powiązać ze sobą i utworzono też rok księżycowo-słoneczny, najbardziej używany, którego długość jest w stósunku prostym do ruchów słońca i księżyca. Jakkolwiek zawiła i złożona na pozór miara taka w rzeczywistości była bardzo prostą, gdyż słońce i księżyc oszczędzali człowiekowi trudów w rachubie dni, skoro lata i miesiące wspaniałemi głoskami zapisywały się na przestrzeni nieba i w państwie roślinnem. Ponieważ rok miesięczno-słoneczny początek swój czerpie w naturze, znajdujemy go więc w najdawniejszej formie kalendarza żydowskiego: rok izraelitów regulowano w ten sposób, iż święto paschy obchodziło się 14 dnia pierwszego miesiąca, gdy jęczmień przynoszony na ofiarę dojrzał podczas pełni księżyca. Lecz jeżeli można było przypuszczać, że jęczmień nie dojrzeje w ciągu owych dni 14, natenczas wstawiono jeden miesiąc A d a r i nowy rok rozpoczynał się wraz z pełnią nowego miesiąca.

Kalendarz żydowski posiada okresy 19-stu lat słonecznych, co równa się 235 miesiącom księżycowym; lata rachuje się tam od stworzenia świata, przypadającego według izraelitów w dniu 7-go Października na 3,761 lat przed Chrystusem.

Chińczycy i indusi mierzą swój czas podobnie. Miesiąc chiński rozpoczyna się wraz z pełnią; pierwszym zaś miesiącem roku jest ten, kiedy słońce wchodzi w znak ryb. Lecz jeżeli słońce w ciągu nowego miesiąca nie wstąpi w jakiś nowy znak zodyaku, natenczas wprowadza się miesiąc dodatkowy, oznaczony taką samą liczbą, jak i poprzedzający, a nadto jakimś znakiem szczególnym. W ten sposób miesiące mają po dni 29 lub 30, lecz kolejne następstwo ich nie podlega stałej zasadzie; nie zachowuje się jej również ani przy wprowadzaniu dodatkowego miesiąca, ani przy wstawianiu dopełnionego roku; ponieważ zaś początek lat i miesięcy obrachowuje się według ruchów ciał niebieskich, przeto rok całkowity jest czemś niepewnem i zmiennem. Kilka minut, lub nawet sekund, mogą zmienić początek miesiąca, lub nawet sprowadzić różnicę dosyć znaczną.

Trudno byłoby powiedzieć, w jaki sposób starożytni dokonywali swych obra-

chowań astronomicznych; to też przejście od jakiejś daty chińskiej do odpowiadającej jej w innej chronologii byłoby prawie niemożliwem, gdyby uczeni tego kraju nie używali od czasów najdawniejszych okresów 60-dniowych (tak jak my siedmiodniowych tygodni) niezależnie od ruchów księżyca. Niepewność i trudność w oznaczeniu daty uczyniły z chińskiego kalendarza niezbędny przewodnik. Redakcyą tego wydawnictwa powierza się tam zwykle cesarskiej komisyi matematyków, znajdującej się często pod prezydencyą księcia krwi. Chwila wydania kalendarza jest istnem świętem, bywa on niezwłocznie przedstawiony członkom cesarskiej rodziny i wysokim dostojnikom.

Lata oznaczone są tam liczbą podwójną, pierwsza jest urzędową, zmienną, i wskazuje długość danego panowania; druga stanowi jedno z ogniw 60-letniego okresu, w którym każdy rok ma inną nazwę.

W całej Azyi wschodniej system rachuby lat oparty jest na kombinacyi jednej z liczb dziesiątka (k a n — albo łodyga) z jedną liczb tuzina (c h i — albo gałąź). Takie same tworzenie okresów większych przez połączenie dwóch mniejszych, znajdujemy w Japonii, Mandżuryi, Mongolii i Tybecie, gdzie czas dzieli się na okresy 60-letnie, utworzone z 10 i 12-letnich. U Azteków okres 52 lat, złożony z dwóch, czterech lub trzynastu mniejszych okresów, każe przypuszczać zgodnie z Humboldtem, że pojęcia azyatyckie dotarły aż do Meksyku. Mniej często spotyka się rachubę na okresy 12-letnie, przyczem każdy rok nosi nazwę jakiegoś zwierzęcia. Chronologią taką widzimy również w całej Azyi wschodniej.

Miesięczno-słoneczny rok Indusów opierał się na roku słoneczno-gwiazdowym, którego dwanaście miesięcy nierównej długości miały sobie ściśle zakreślony okres trwania. Słoneczny miesiąc C h a i t r a liczył 30 dni, 20 godz., 21 m., 2 s. i 36 t., podczas gdy dzień podzielony był na 60 godzin. Rachubę zaczynano na nowiu, jaki poprzedzał początek słonecznego roku. Jeżeli dwa miesiące księżycowe zaczynały się w ciągu jednego słonecznego, to pierwszy z nich bywał wstawiony, jako dodatkowy; jeżeli zaś ani jeden miesiąc księżycowy nie zaczynał się podczas słonecznego, to rok tracił wtedy jeden ze swoich zwykłych miesięcy, otrzymując natomiast dwa pośrednie.

Każdy miesiąc indyjski posiadał szczególną nazwę i początek każdego z nich (na nowiu) oznaczany był z taką wielką dokładnością, iż łatwiej jest odnaleść jakąś datę indyjską, niż chińską.

Rachuba lat rozpoczyna się od zera, przyczem drugi z kolei rok oznaczony jest liczbą jeden i t. d., tak, iż każdy rok jest właściwie datą poprzedzającego. Każdemu też w ciągu 60-letniego okresu nadaje się inną nazwę; okres ów różni się od chińskiego i oparty jest na ruchach planety Jowisza; wskutek tego, po każdych trzech i trzydziestu okresach robi się pewne poprawki w rachunku.

Oprócz tego Indusi używają rachuby na wieki.

Wiek IV: Kali Yuga, wiek żelaza, albo nieszczęścia (obecny) 432,000 lat.

Wiek III: Dwapara Yuga, 864,000 lat.

Wiek II: Tresa Yuga (srebrny) 1,296,000 lat.

Wiek I: Krita Yuga (złoty, albo niewinności) 1,728,000 lat.

Grecy używali najprzód okresu dwuletniego, przyczem każdy rok zawierał 12 trzydziestodniowych miesięcy — po tym okresie następował trzeci rok o 13 miesiącach, co utworzyło razem w przecięciu 370 dni na 1 rok; dalej następował okres 10 lat księżycowych, z włączeniem 7 dodatkowych miesięcy, a to w celu otrzymania 19 lat słonecznych. Każdy miesiąc składał się z 29 i 30 dni i czas liczono na olimpijady — po 4 lata w każdej. Era olimpijska sięga 776-go roku przed Chrystusem. W roku 1433 przed naszą erą, Kallippos zaprowadził tam okresy cokolwiek mniejsze niż 19-letnie, gdyż po upływie każdych 76 lat odejmowano dzień jeden.

Rok rzymski składał się z 304 dni za czasów Romulusa, z 365 za Numy i z 366 nieco później wskutek wstawienia miesiąca zwanego Mercedonius.

Rachubę czasu powierzono najwyższym kapłanom. Niektórzy z nich korzystali z tego, aby zmniejszać, lub przedłużać dowolnie czas urzędowania swoich przyjaciół lub nieprzyjaciół. Doszło do tego, iż na wiosnę obchodzono Autumnalia, a święto Cerery obchodzono wśród zimy. Juliusz Cezar położył temu koniec, wprowadzając do Rzymu przy pomocy aleksandryjskiego astronoma Sosigenesa, rok z 365 dni i 1/4, wyrachowany przez Eudukcyusza w Egipcie. 366 dzień 4-go roku dodawano do miesiąca lutego; stało się to w 46 roku przed Chrystusem. Kalendarz ten jest podstawą naszego.

Wszędzie, gdzie nie obchodzono żadnych świąt na nowiu lub podczas pełni, zarzucono dość prędko rok miesięczno-słoneczny, zastępując go słonecznym.

Starożytni egipcyanie liczyli zrazu 12 miesięcy po 30 dni w każdym, czyli rok ich miał dni 360, nieco później dołączono pięć dni dodatkowych. Rachubę lat rozpoczynano od chwili wstąpienia na tron królów.

Taką samą rachubę czasu widzimy u persów, z tą tylko różnicą, iż 5 dni dodatkowych łączyli oni z 8-ym, nie zaś z 12-ym miesiącem. Miesiące ich mają nazwy osobne, a lata rachuje się tam od wstąpienia na tron Yezdegerda I (399 lat po Chrystusie).

U niektórych plemion sposób rachowania czasu nie zasługuje na nazwę systemu. Mieszkańcy wysp Taiti używają zmian księżyca i czasu dojrzewania zboża.

Indyanie Makha posługują się księżycem i porami roku, pomiędzy któremi odróżniają tylko dwie: gorącą i chłodną.

Rok meksykański był szczególną odmianą tego, jaki się składa z 365 1/4 dnia. Zawierał on 18 miesięcy po 20 dni każdy, do których dołączano 5 dni dodatkowych; później zaś po upływie lat 52 dodawano 13 dni nowych, powstałych z 52 ćwierci dnia.

Stary rok irlandzki również zasługuje na uwagę. Jednostką jego był tydzień 7-dniowy; aby mieć do czynienia z okrągłą liczbą tygodni, liczono 12 miesięcy po 30 dni każdy, dodając w końcu dni 4; następnie zaś co 6 lub 7 lat dorzucano jeden tydzień. W ten sposób rok zawierał 52 lub 53 tygodnie.

Jednakże rok złożony z 365 1/4 dni był trochę za długi, gdyż okres jego istotny równa się 365.240 dnia. Dla usunięcia niedokładności papież Grzegórz XIII przy pomocy uczonego kalabryjczyka Lilio, rozkazał, aby wszelką liczbę stuleci, nie dzielącą się przez 4, nie uważać za rok przestępny (n. p. 1,700, 1,800 gdzie jest stuleci 17 lub 18). Następnie, ponieważ podówczas należało dodać dni 10, ogłoszono więc nazajutrz po 4 Października 1582 roku datę 15-go Października; stało się to na rozkaz soboru Nicejskiego. Reformę tę g r e g o r y a ń s k ą wszystkie kraje katolickie przyjęły bez zwłoki. Protestanckie państwa Niemiec przyjęły ją w 1600 r., Anglia zaś 1752. Zaprowadzenie tej rachuby w Polsce w 1586 r., wywołało rozruchy w Rydze.

Rosyanie, grecy i chrześcianie Wschodu, zachowali kalendarz juliański, daty ich są późniejsze od naszych o dni 12 (10 dni zniesionych w roku 1582 i 2 w 1700 i 1800).

Szach perski Eddin polepszył również kalendarz juliański, tak iż dzisiaj niedokładność w rachubie czasu jest u persów bardzo nieznaczną.

Bohaterowie pracy.

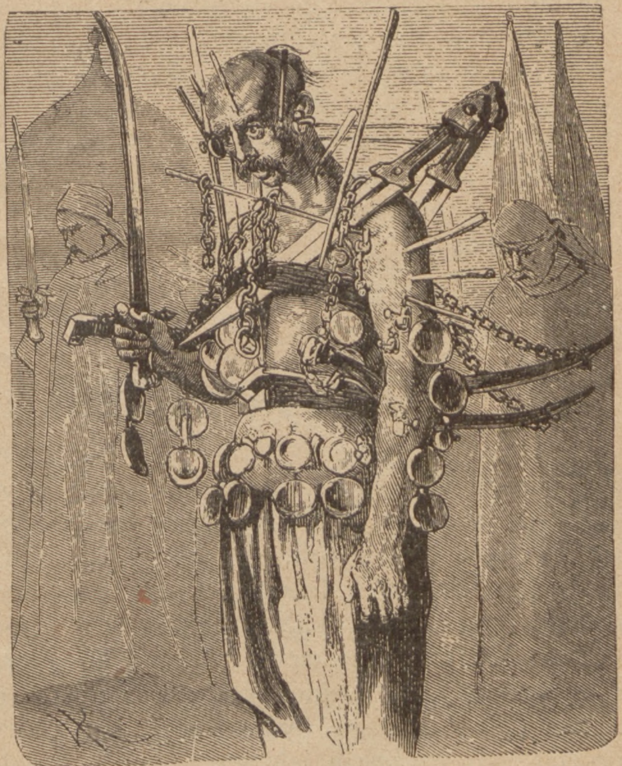
W roku 1885 sieć dróg żelaznych na kuli ziemskiej wynosiła przeszło 442,200 kilometrów. Ażeby mieć pojęcie o doniosłości tej cyfry, dosyć powiedzieć, że gdyby złączono razem wszystkie drogi żelazne, możnaby niemi opasać ziemię przy równiku jedenaście razy; linia zaś z nich utworzona dosięgłaby księżyca i jeszczeby mogła posunąć się dalej o 54,000 kilometrów.

Statystyka nie podaje nam ścisłych cyfr co do ilości lokomotyw krążących na powierzchni naszej ziemi, oraz maszynistów i palaczy, którzy codziennie narażają swoje życie przy obsłudze tych żelaznych potworów; w przybliżeniu jednak możemy obrachować liczbę lokomotyw na kilkaset tysięcy, liczba zaś maszynistów i palaczy może wynosić około pół miliona.

Chociaż maszynistom i palaczom powierzamy życie, mało jednak jesteśmy obeznani z ich zajęciami i obowiązkami i nie zdajemy sobie sprawy z grożących im niebezpieczeństw. Na tysiąc podróżnych, którzy dzięki baczności, zimnej krwi i odwadze, szczęśliwie stają u celu, zaledwie jeden wdzięcznem okiem rzuci na osmolone oblicza ludzi prowadzących lokomotywę. Umieją tylko złościć się za przeraźliwe gwizdanie i złorzeczyć im, jeżeli pociąg się spóźni.

Wielu wyobraża sobie, że służba na kolei rozpoczyna się dopiero na kilka minut przed odejściem pociągu; tymczasem maszynista i palacz na półtorej godziny przedtem muszą być na stanowisku, a i ten czas zaledwie im wystarcza do spełnienia licznych obowiązków i przedsięwzięcia niezbędnych środków ostrożności. Trzeba nasmarować maszynę, zbadać w jakim stanie są koła, tłoki, kocioł i ognisko, przekonać się, czy ogień dobrze się pali, czy ilość wody jest dostateczną, żeby dostarczyć tyle pary, ile jej potrzebuje lokomotywa. Nie wspominam już o hamulcach, o klapie bezpieczeństwa i innych rzeczach, które wymagają ciągłej baczności i nadzoru, bo od nich zależy nietylko punktualne przybycie na miejsce, ale całość pociągu i bezpieczeństwo podróżnych.

Wszystko jest w porządku, godzina odjazdu się zbliża, należy więc lokomotywę i tender przyczepić do wagonów. Nie jest to rzeczą tak łatwą, jakby się zdawało. Jeżeli maszynista spóźni się o sekundę z zamknięciem regulatora, a palacz zaniedba ścieśnić w porę hamulec, nastąpi uderzenie mniej lub więcej silne, szkodliwe dla wagonów, a niebezpieczne dla podróżnych. Dochodzą oni jednak w tem do takiej wprawy, że nikt nawet nie zauważy, kiedy następuje połączenie.



Fanatyk perski. (Obacz obj. rycin na str. 16.)

Maszynista ma jeszcze pięć minut przed sobą; przez ten czas musi się dowiedzieć, z ilu wagonów składa się po-

ciąg, gdyż do tego stósuje parę; musi się przekonać, czy lokomotywa i tender są dobrze sczepione z wagonami; w końcu musi zbadać stan hamulców, żeby go nie zawiodły, kiedy przyjdzie zatrzymać pociąg.

Ulepszony system hamulców pozwala teraz zatrzymać pociąg na przestrzeni dwustu lub trzystu metrów, kiedy dawniej trzeba było na to pięćset lub sześćset. Maszynista otwiera klapę i w skutek ciśnienia powietrza wszystkie wagony odrazu stają. Kto wie, jak ważną i drogą jest każda sekunda na kolei, zrozumie znaczenie tego ulepszenia.

Sumienne zbadanie łańcuchów łączących lokomotywę z wagonami, jest rzeczą wielkiej wagi, zwłaszcza w krajach górzystych. Gdyby łańcuch pękł w czasie biegu pod górę, wagony cofnęłyby się w tył i mogłyby wpaść na nadchodzący pociąg.

Ileż to razy podróżni narzekają na hałas na stacyach, na ciągłe gwizdanie, które im uszy rozdziera. Bez tego jednak obejść się nie można i wszystkie utyskiwania na nic się nie zdadzą. Maszynista, zanim wprowadzi w ruch lokomotywę, musi gwizdaniem ostrzedz ludzi, potem dopiero puszcza parę.

Wprowadzić pociąg w ruch nie jest rzeczą tak łatwą, jakby się zdawało. Jeżeli relsy są wilgotne, a maszynista puści za wiele pary, koła obracają się na miejscu z przerażającą szybkością, ale ani jeden wagon się nie ruszy; nazywa się to ślizganiem i jest bardzo szkodliwe tak dla lokomotywy jak dla wagonów.

Pociąg nareszcie ruszył i teraz zadanie maszynisty staje się tak ważnem i ciężkiem, że wobec niego cała poprzednia praca była tylko zabawką.

(Dokończenie nastąpi.)

PRZYGODA MACIEJA STRYJKOWSKIEGO.

Dziedzice Osostowa Stryjkowscy, już od dawna, od lat kilkunastu, prośby swe do Nieba słali; w cudownych miejscach Polski z Litwą, jaśniały ich darami ołtarze; przy każdej niemal rozstajnej drodze, stał krzyż piękny, ich ręką stawiany, bo pełne były ich brogi zboża, pełne tłustego bydła obory, lecz próżne były szczęścia ich serca, próżne nadziei ich życie, nie mieli dotąd dziecięcia, nie mieli dotąd nikogo, ktoby z niemi dostatków używał, ktoby im zamknął powieki. Ale nareszcie Bóg ich wysłuchał, urodziło im się dziecię, syn czerstwy, miły, nadobny. Ledwie odrosł cokolwiek od ziemi, o własnej puścił się mocy, głoskiem przemówił dziecinnym, już wesołością, rozumem, rodziców cieszył, dziwił czeladkę. Świeży jak wiosna, jak iskra żywy, obraz swobody i zdrowia, całem był szczęściem rodziców, całą ich życia przyszłością. Właśnie rok piąty był zaczął, właśnie w Sierpniowym wieczorze, przed modrzewim siedząc dworem, lubą i słodką o synie była ojca i matki rozmowa. W ciągu dnia, dał był dowody nadzwyczajnego dowcipu, potem na czterokątnym podworcu, zręczne wyprawiał skoki i pląsy, teraz jak hetman pobiegł do sadu, na czele dzieci czeladki, tam ich do boju zwykle szykował, tam z nimi grał wesoło; rodzice o swych nadziejach mówili. — Wtem odgłos przeraźliwego krzyku odbija się o ich uszy, był tam szczególniej krzyk jeden, co matki serce wskroś przeszył, powstaje, drżąc cała, bieży.. Ojciec zawsze od niej silniejszy, dziś jej wyścignąć nie może... Jedynak bawił się w sadzie, tam jest głęboka sadzawka... tam dążą, ku miejscu temu zbłąkane zwracają oczy, widzą rozbiegłą dziatek gromadę, jakby przed wilkiem owieczek trzoda, jedno za drzewami stawa, drugie w wysoką trawę się kryje, trzecie, co zdążyć może, ucieka, a wszystkie płaczą i krzyczą: »Panicz utonął, utonął!« Już prawie bez

tchu rodzice, dwoją swój krok ociężały, stają nareszcie nad brzegiem wody, z razu nic na powierzchni nie widzą, lecz wkrótce już bez oporu ciało ich syna wypływa. Zanurza się ojciec w wodę, nieszczęsnej matce stać przykazuje, wyciąga dziecię, na brzeg go kładzie. Porywa matka mokre dzieciątko, woła na niego, nie słyszy, tuli do łona, nie czuje, bierze go ojciec — toż samo! Niosą go pędem do domu, a krew w ich żyłach zimniejsza od zimnej wody, co na nich ścieka. Zbiega się wierna czeladka, przybywa pleban z lekarzem, przychodzą zewsząd stare niewiasty, każdy coś radzi, wskazuje, każdego ojciec i matka słucha, co tylko radzą, robią, próbują, a dziecię zawsze jakby nieżywe. Sine, odęte i zimne, leży zmartwiałe ciałko chłopczyny, każdy go sobie podaje, każdy go cuci, trząsa, nacierają, a dziecię zawsze nieżywe. Rodzice rwą włosy i łamią ręce, głowami o ściany tłuką, dawniejsze wznawiają śluby, Świętych wzywają pomocy, lecz Niebo głuchem się zdaje i dziecię leży nieżywe. »Próżne te nasze mozoły, odbiegłej duszy już nic nie zwróci!« tak mówią cicho pleban i lekarz, tak cicho mówi czeladka. — Słońce zachodzi, noc cała mija, dzień cały drugi spływa okropny; już w sercu ojca nadzieja kona, już mdleje w duszy zbolałej matki. Widząc spełnione srogie nieszczęście, troskliwy pleban z lekarzem rodziców ciągną do drugiej izby, cichaczem trumnę przynoszą. Płacząc sędziwa piastunka, obleka dziecię w białą koszulkę, zeschłe włoski gładko czesze, równianką z kwiatów go stroi, kładzie w ostatnią ludzi łożnicę. »Tak cię ja kładłam w kołyskę, mówi do niego zalana łzami, tak ty mnie w trumnę położyć miałeś!« W tej chwili wpada strwożona matka: »Okrutna! cóż czynisz? boleśnie woła; alboż to dziecię umarło?« — »Umarło dziecię,« pleban powtarza, »umarła twoja pociecha. Ten co ją zesłał, przyzwał do siebie, Ten co pożyczył, odebrać może. Poddaj się woli Pana, niewiasto! szanuj z pokorą wyroki Jego!« — Klęka niewiasta, obok niej ojciec, oboje ręce do Nieba wznoszą, usta ich razem mówią te słowa: »Panie możesz, oddal ten kielich, jednakże, nie dziatek wola, Twoja, Ojcze, niech się stanie!« Tak rzekli, wzmocnieni wstają i mówią głośno: »Weźcie już dziecię!« Ciśnie się tłumem czeladka, do dwóch kościołów. Pleban znać daje, sam się w żałobne szaty odziewa, biorą trumienkę domowi, niosą na barkach odkrytą, wybladła matka zwłok się dotyka, drżąc cały, ojciec żonę podpiera. Idzie przez miasto orszak w milczeniu, wybiegli z domów mieszkańcy, co krok to grono zwiększają, każdy w cichości dziedzica płacze, a więcej jeszcze jego rodziców. Nagle, w obudwóch kościołach, huczny głos dzwonów powietrze dzieli, a matka czuje zimnych zwłok drgnienie, krzyknęła, stają. Lekarz przybiega, kładą na ziemię trumienkę i znowu lekkie czuć drgnienie. Porywa matka z trumienki dziecię, osłania go suknią, rękoma, chce z niem uciekać daleko. Wstrzymuje lekarz jej obłąkanie, pomału iść przykazuje, strwożonej rzeszy krzyczeć zabrania, do swego domu matkę wprowadza. Tam w ciepłe łoże dzieciątko kładzie, tam go sam jeden cuci, ratuje, tam słowa nadziei głosi, milczenie, cichość zaleca, matka i ojciec dech swój wstrzymują. Po krótkiej nie do opisu chwili, serce dzieciny mocniej uderza, po całem ciałku duch się rozbiega, dziecię do życia powraca. Niknie zwolna siność z twarzy, krew przebijać się zaczyna, odmyka dziecię oczka zawarte, i ku rodzicom je zwraca; blade usteczka na pół otwiera, chciało przemówić, uwięzły słowa, lecz się uśmiechnąć zdołało. »O Boże! wszechmocny Boże!« wyrzeka cicho przejęta matka, i łzy uniosły ciężar jej szczęścia.

Zaledwie trzy dni minęło, już na podworcu biegał jedynak, już był na nowo szczęściem rodziców, już nie tylko domowi, czeladka, wszyscy się nad nim dziwili. W pierwsze zaś po tym dniu święto, pleban licznemu ludowi, te z księgi Boskiej przeczytał słowa:

»Onego czasu, przybliżał się Pan ku bramie miasta N a i m, a oto wynoszono umarłego z miasta, jedynaka swej

matki, i rzesza wielka szła za nim. Ujrzawszy oną matkę, Pan ulitował się nad nią, i rzekł jej: »Nie płacz!« Przystąpił, dotknął się mar, i ci co nieśli stanęli. A On rzekł: »Młodzieńcze, tobie mówię, wstań!« I usiadł on młodzieniec, który był umarły i począł mówić; a Pan dał go Matce jego. Zdjął wszystkich strach wielki i wielbili Boga, mówiąc: Bóg nawiedzał lud swój! I rozeszła się powieść po wszystkiej okolicznej krainie.«

OBJAŚNIENIA RYCIN.

Przy kądzieli i krośnach w dawnych czasach. Ładny obrazek ten przedstawia scenę z dawnych lat, gdy to i książęce córy wieczorami przy kądzieli siadały. Rycerz młody opowiada im powieści o bojach, w których bywał, o światach, jakie widział. Prządki słuchają uważnie.

Między ludem polskim schodzą się do dziś w zimowe wieczory prządki do jednej chaty i przędąc razem, albo śpiewają nabożne pieśni, albo słuchają czytania z jakiej książki. To piękny zwyczaj.

Z bitwy pod Kulmier. Obraz przedstawia chwilę, gdy bawarczykowie pierzchają złamani na wszystkich punktach; na głównym planie stoi komendant jednego z oddziałów francuzkich, biorących udział w bitwie; rękę lewą wsparł o wylot działa, w prawej szpadę trzyma a wzrokiem gorączkowo przypatruje się końcowi walki. Stary to wojak, znać nie nawykł stawać w ostatnich szeregach, świadczy o tem potężna szrama na wysokiem czole. I teraz dusza mu się rwie do walki, ale naczelny wódz wyznaczył mu posterunek, karność zaś wojskowa surowo karci najmniejsze przekroczenie rozkazu. Od szeregów walczących dochodzą okrzyki tryumfu, słyszy je doświadczony żołnierz, widzi uciekających, oczy mu się iskrzą, twarz pała, zwraca się z radością do adjutanta, wołając: »Zwycięztwo, kolego, zwycięztwo!« — i nagle milknie zasępiony: młody towarzysz, który przed chwilą wtórował zwycięzkim okrzykom, ugodzony kulą wydaje ostatnie tchnienie a żegnając świat szepce: »Niech żyje Francya!«

Fanatyk perski. Daleki Wschód nazwać można ogniskiem fanatyzmu; wszakże to fakirowie indyjscy, aby osiągnąć ostateczny cel szczęścia, n i r w a n ę, bezwzględne znieczulenie, nicość, zadają sobie męczarnie, na których wspomnienie myśl się nasza wzdryga. Naprzykład, stoją po całych latach na jednej nodze, trzymając się rękoma za gałęzie drzewa i żywiąc się pokarmem wkładanym im w usta przez pielgrzymów. Zaszczepiają pod skórą nasiona roślin, które wschodzą na ich żywem ciele, rozrastają się, przetwarzając ludzi na jakieś potwory. Takie same objawy fanatyzmu spotykamy w Persyi.

Fanatycy w Indyach i w Persyi dają się podgatunkować na dwa zupełnie różne oddziały; gdy jedni, ogarnięci szałem, zapominają o wszystkiem, inni pozoru nabożeństwa używają dla wyzysku grosza. W Persyi, podczas obchodu uroczystości noworocznych, po ulicach miasta włóczą się ludzie półnadzy, z powbijanemi w gołe ciało ćwiekami, gwoździami, sztyletami, biczujący się publicznie ciężkiemi łańcuchami, najeżonemi kolcami. Tym sposobem starają się wzbudzić litość spółziomków, obchodzących wtedy właśnie smutną rocznicę pogromu Alidów, których za prawych kalifów, następców Mahometa poczytują. Taki fanatyk perski z ponurą twarzą, powoli kroczy przez ulice miasta, brzęczy łańcuchami, wykrzykując płaczliwie: »Hassan! Hussein!« — imiona wnuków Mahometa, zamordowanych przez sunnitów. Od czasu do czasu zatrzymuje się, przed gromadką liczniej zebranego ludu i wygłasza (obiczowawszy się wprzódy) takie zdania:

»Niema Boga jeno Allach a Mahomet jego prorokiem! — wykrzykuje. Słuchajcie, prawowierni, co Allach przez usta proroka oznajmić kazał. Wielkość człowieka to głęboka wiedza, dawanie zgodnych z prawdą odpowiedzi, jednanie przyjaciół i wystrzeganie się wrogów. Cztery rzeczy są dla ludzi niebezpieczne: blizkie obcownie z sułtanem, przyjaźń ze złymi, żądza bogactw i poufałość z kobietami. Warunkami szczęścia są: bezpieczeństwo w domu, dostatek, zdrowie i odwaga. Namiętności zwalczają się: sztyletem milczenia, mieczem postu, lancą czujności i samotnością. Głupców się strzeżcie; można ich poznać po tem, że widzą zawsze wady w drugich a nigdy w sobie; żywią w sercu chciwość a żądają od innych bogactwa.

Prawowierni obfitą jałmużną darzą tych fanatyków, w ich mniemaniu szczerze nabożnych; po uzbieraniu groszy, spieszą oni wielbić proroka w pobocznych szynkach, przy dzbanach wina i z fajką nałożoną opiumem.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Szl.
Redaktor: A d a m N a p i o r a l s k i w Bytomiu.

Praktyczne rady.

— **Środek na odmrożenie.** Miesza się 15 cz. kollodyonu, 6 cz. oleju rycinowego, 3 cz. terpentyny i nakłada masę tę pędzlem na odmrożone miejsca.

— **Jaja zmarzłe czynić przydatnemi do użycia.** Jaja zmarzłe mogą być jeszcze przydatne, jeżeli się je zanurzy w bardzo zimnej wodzie.

— **Płyn do wywabiania plam.** Benzyna jest wybornym środkiem na plamy, Przy użyciu, rozkłada się przedmiot na stole, zwilża benzyną za pomocą kawałka czystego płótna, i wyciera tak długo, póki czyste płótno namoczone w benzynie nie przestanie się brudzić.

— **Ucinanie i gięcie szkła.** Chcąc nadać tablicy szkła formę okrągłą lub czworograniatą n. p. do latarki, wpiłuje się na końcu tablicy pilnikiem lub kawałkiem ułamanego szkła kilkarazowem pociągnięciem miałki znaczek. Potem trzymając tablicę prostopadle, rozgrzewa się miejsce cokolwiek niżej opiłowanego rowku, dopóki szkło się nie zacznie dwoić, za pomocą zapalonej świecy, stoczka woskowego lub węgla do dwojenia czyli łamania szkła (Sprengkohle), który można kupić w każdej aptece. Koniec węgla trzyma się bez naciskania na szklannej tafli, dmuchając ciągle na węgiel przy posuwaniu go po tych miejscach, gdzie pęknięcie ma nastąpić, posuwa się gorący koniec zawsze cokolwiek niżej pękniętego już miejsca. Linie pęknięcia można atramentem oznaczyć lub okrągły papier przylepić. Chcąc urznąć butelkę, aby ją użyć jako słojek lub szklankę, ucina się z papieru do filtrowania lub bibuły wstążki 3 centr. szerokie, zwilża je dobrze wodą i obwija dosyć grubo na około butelki i przywiązuje lekko sznurkiem. W ten sposób robi się jeszcze jeden taki pierścień na butelce tak, aby miejsce pomiędzy dwoma pierścieniami, gdzie pęknięcie ma nastąpić, było 1 centr. szerokie. Teraz obracając ciągle butelkę, rozgrzewa się miejsce pomiędzy owemi dwoma pierścieniami nad palącą się lampką spirytusową lub w braku tejże, nalewając spirytusu do naparstka utkwionego w piasek. Po dostatecznem rozgrzaniu, butelkę trzyma się spokojnie nad ogniem, nie obracając, aby w skutek większego rozgrzania jednego puntku, nastąpiło pęknięcie. Pęknięcie następuje także, lecz nie tak akuratnie, polewając rozgrzane miejsce zimną wodą.

Chcąc uciąć szklanną rurkę, robi się rowek pilnikiem i łamie się od przeciwnej strony rówka.

Gięcie szklannej rurki uskutecznia się w ten sposób: rozgrzewając ją nad lampką spirytusową o płaskim knocie, lecz nie do czerwoności i gnie ją, zbliżając ręce szybko do siebie, trzymając rurkę za obydwa końce, ile możności zatykając je palcami, przez co rurka w zgięciu staje się regularniejszą.

Chcąc zrobić dziurkę w szkle, ułamuje się koniec okrągłego pilnika i trzymając takową ukośnie na szkle w dwóch palcach, obraca się tam i napowrót, zwilżając olejkiem terpetynowym.

— **Aby przy pomykaniu** stołów i krzesełek zapobiedz powstaniu znaków na malowanych podłogach, robi się na końcu każdej nogi dziura w którą się kituje kawałek gumy elastycznej tak, aby cokolwiek wystawała.

Zakładajcie stawki
i hodujcie ryby.

Jest zaiste zadziwiające, że w dzisiejszych czasach, kiedy zyski z gospodarstwa rolnego są niestosunkowo małe, rolnicy zgoła nie zwrócili uwagi na obfite źródło dochodu, które ani wielkich nakładów, ani też uciążliwego zachodu i pracy nie wymaga.

Mamy tu na myśli zakładanie stawków wiejskich, tj. wśród wsi położonych i hodowanie w nich ryb łatwych do sprzedania, do których zaliczamy przedewszystkiem karpia. Większe stawy bowiem nietylko wszędzie zakładać się nie dają, ale wymagają osobnych kosztownych urządzeń, jak grobli, opustów, rowów i t. d., a stosunkowo znacznie mniejszy dochód przynoszą. Obszar zaś do założenia małego stawku potrzebny, prawie wszędzie w każdej wsi znaleść można, a koszta założenia stawku małego są bardzo nieznaczne. Ileż to w naszym kraju moczarów, kałuży, strumyków, opuszczonych łożysk rzek, potoków i innych wodnisk zapisanych w wykazach katastralnych jako bezwartościowe i żadnego dochodu nie przynoszące nieużytki! I są niemi w rzeczywistości! A przecie tak łatwo i prawie bez kosztów byłoby zamienić wszystkie te zbiorniki płynącej lub stojącej wody w użyteczne i zyskowne stawki rybne i w ten sposób nietylko powiększyć bogactwo narodowe kraju, ale nadto podać sposobność także uboższej ludności, niemogącej dzisiaj nawet marzyć o częstszej strawie mięsnej, by się żywiła pokarmem zdrowym, a tanim.

Zwracając uwagę na zyskowność hodowania ryb w stawkach małych, śmiało powiedzieć można, że żadna gałęź gospodarstwa ba nawet przemysłu, porównać się nie da, co do osiągniętych zysków, z hodowlą ryb w stawkach małych, wiejskich.

Jeżeli doświadczenie wykazało, że czysty zysk z najlepiej zagospodarowanych stawów większych wynosi co najwięcej 25 złr. na morg, to ze stawków małych wynosi on 3 do 10 razy więcej!

Gospodarze rolnicy! Czy wobec tego możecie jeszcze pozostać obojętnymi na tak łatwo nadarzającą wam się sposobność pomnożenia waszych dochodów? Zamieniajcie wasze moczary i kałuże, które wam dotąd tylko na to służą, by do nich pędzono wasze bydło, trzodę i gęsi, albo by zbytnia lub też niedość ceniona gnojówka do nich spływała, na stawki rybne, a gdzie sami tego uczynić nie zdołacie,

niechaj to uczynią wspólnemi siłami dwaj lub więcej gospodarzy, albo też gmina sama, a łożony na to trud sowicie się opłaci.

Zauważyć tu należy, że stawki te mogą być o najmniejszych rozmiarach i będą tem lepsze, im bliżej są położone wsi i obory, z której gnojówka zwykle albo też w czasie deszczów, w ogóle w krótszych odstępach czasu, bezpośrednio do nich spływa. Głębokość tych stawków w miejscach najgłębszych, gdzie woda wypływa, jeżeli w ogóle jest odpływ, nie powinna przechodzić $1^1/_2$ metra, a ku brzegom woda powinna być coraz płytsza, aby się prędzej ogrzała, co do wzrostu karpi bardzo się przyczynia.

Da takich stawków należy na wiosnę, a zatem mniej więcej w drugiej połowie kwietnia wpuścić karpi $^1/_2$-funtowych, co najwięcej po 30 sztuk na każde 100 sążni kwadratowych licząc. Gdy po upływie 7 miesięcy, stawek wyłowiony będzie sieciami, to przy okolicznościach średnio-przyjaznych karpie ważyć powinny przeciętnie po $1^1/_2$ funta tak, iż przyrost ryb wynosić będzie na stawku o 100 sążniach objętości — 20 funtów, co licząc funt tylko po 30 ct., stanowi dochód 9 złr., czyli z morga 145 złr. — a to bynajmniej nie jest nic nadzwyczajnego.

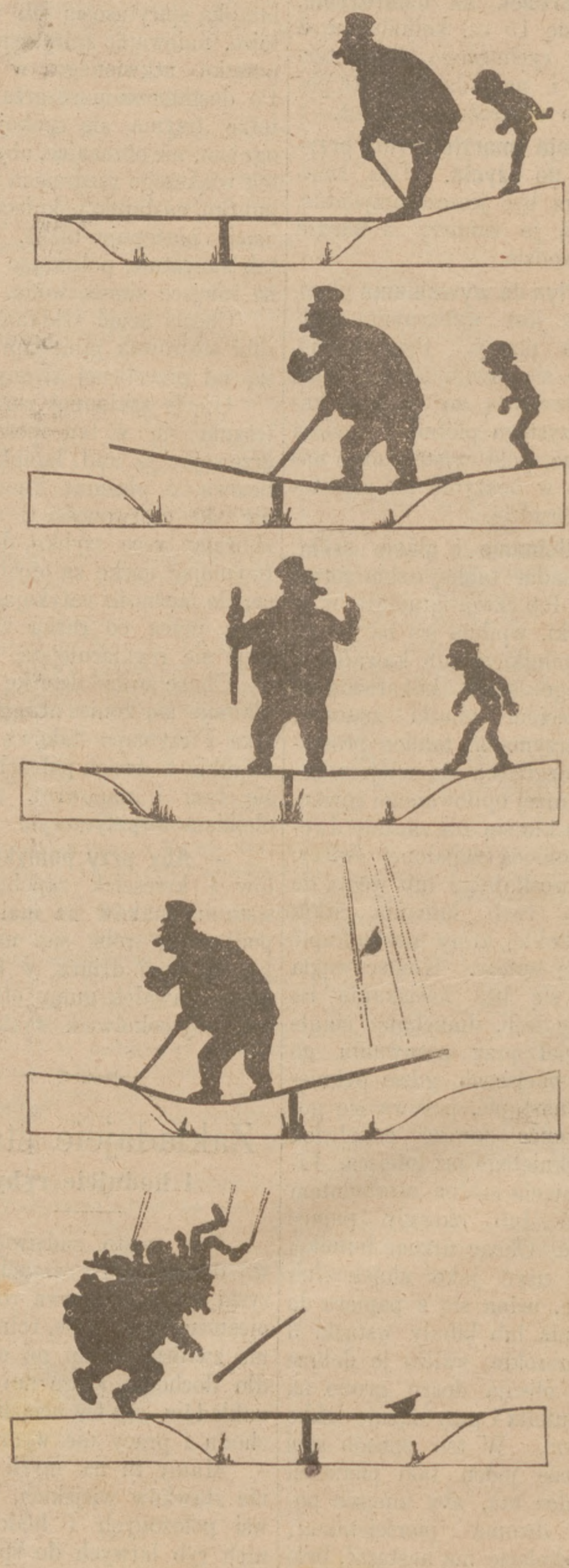
Pominąć nie można jeszcze jednej, a znacznej korzyści ze stawków wiejskich, mianowicie jako zbiorników wody, tak niezbędnych przy pożarach do gaszenia ognia, a obecnie niestety tak rzadko w obrębie wsi się znajdujących. Jak bardzo ułatwiona jest wtenczas czynność straży ogniowej!

Dlatego nie przestajemy nawoływać: Zakładajcie jak najwięcej stawków i hodujcie w nich ryby!

Rozmaitości.

* **Jak się fabrykuje masło sztuczne?** Masło sztuczne przygotował poraz pierwszy Mege-Mouries w Paryżu w 1871 roku. W 1869 Napoleon III polecił

Gibka kładka przez strumyk.



chemikowi zbadać przygotowanie produktu, mogącego mniej zamożnej ludności zastąpić masło naturalne. Wojna w 1870—71 i oblężenie Paryża przyspieszyły rozwiązanie zadania. Pierwsze wyroby różniły się jeszcze bardzo od masła naturalnego; dziś jednak niektóre wielkie fabryki w Europie i Ameryce dostarczają masła tak dobrze naśladującego naturalne, że tylko rozbiór chemiczny wykryć może podróbkę.

Do fabrykacyi masła sztucznego używa się: łój wołowy świeży, mleko, wymię krowy i żołądek owczy lub wieprzowy. Przedewszystkiem topi się łój i oddziela stearynę od oleo-margaryny. Ta ostatnia, zaprawiona częścią rozpuszczalną wymienia krowiego, nabiera własności fizycznych masła.

W tem celu z łoju wydzielają się naprzód wszystkie części mięsne i krwiste, poczem do 1000 kilogramów tłuszczu dodaje się 300 litrów wody, 1 kilogram węglanu potasu, 2 kilogr. żołądka wieprzowego lub owczego drobno posiekanego, cała ta mięszanina przechodzi przez cylindry ogrzane parą do 45°. W ten sposób pękają błonki zawierające tłuszcz, który po dwóch godzinach pod wpływem fermentów topi się zupełnie. Następnie wszystko filtruje się przez płótno lniane, dodaje się 2 na 100 soli, i pozostawia w naczyniach blaszanych lub cynkowych przez dwie godziny w temperaturze 45°, a potem aż do dnia następnego w temperaturze 20—25°. Gdy po upływie tego czasu masa ustała się, wydziela się z niej stearyna, u wyciśnięta oleo-margaryna w ilości 50—60°,₀ wlewa się w waski drewniane, w których przemywa się i oziębia, wreszcie mięsza dla nadania masie jednolitości. W ten sposób otrzymują się poślednie gatunki masła sztucznego.

Dla otrzymania zaś lepszych gatunków, mięsza się 50 kilogramów tak otrzymanej oleomargaryny z 25 litrami mleka i tylomaż litrami wody, zawierającemi części rozpuszczalne stu gramów wymienia krowiego posiekanego; następnie wszystko wlewa się do kierzni (maślnicy) i bije jak masło naturalne. W końcu otrzymuje formę zwykłych osełek.

Kolor, zapach i smak nadaje się za pomocą materyj barwnych, eterów, kumaryny, a większą lub mniejszą twardość dodaniem odpowiedniej ilości stearyny. Tak otrzymany produkt w błąd może wprowadzić każdego. Jeżeli zwłaszcza dobrze jest przygotowany, smakiem, zapachem, topliwością naśladuje najzupełniej masło zwykłe; źle przygotowane masło sztuczne wydaje przy topieniu woń nieprzyjemną, po której zaraz odróżnić je można od masła naturalnego.

W wielu krajach nie wolno jest wyrabiać masła sztucznego bez podania na etykiecie pochodzenia jego. Nic słuszniejszego. Jakkolwiek bowiem trudno je rozróżnić od naturalnego, nie jest niem w rzeczywistości. Posiadając inny skład, wywierać musi i inne skutki zdrowotne. Doświadczenia porównawcze czynione w tym przedmiocie przez Meyera, wykazują, że masło sztuczne trudniejsze jest do trawienia niż naturalne. Różnica ta mniej daje się uczuć osobom zdrowym i dorosłym, ale widoczną jest na chorych i dzieciach. Dla tych powodów masło sztuczne nie powinno być używane w szpitalach, ani na pokarm dla dzieci.

* **W jaki sposób odlewają się tafle zwierciadlane?** Zwierciadła robią się ze szkła białego, bardzo czystego. Szkło to składa się z 70 części piasku białego, 15 wapna i 11 części sody. Materye wchodzące w skład szkła lustrowego, wymagają do stopienia bardzo wysokiej temperatury i dla tego kładą się w tygiel gliniany ogniotrwały, mający w pośrodku głęboki rowek, zwany paskiem. Rowek ten służy do przenoszenia tygla za pomocą długich cęgów, kleszczy lub pierścienia zawieszonego na windzie.

Tygiel napełniony mięszaniną wprowadza się do pieca, opalanego zwykłym węglem lub gazem z węgla kamiennego. Skoro mięszanina się stopi, zmniejsza się stopniowo temperaturę pieca, by szkło z stanu płynnego przeszło w ciastowaty. Wówczas robotnicy chwytają tygiel cęgami, lub kleszczami, i stawiają go nad stołem z lanego żelaza, suwającym się na kółkach, nadzwyczaj gładkim, opatrzonym ruchomemi listwami, ułożonemi stósownie do rozmiarów jakie zamierzamy nadać tafli szklanej.

Robotnicy prędkim ruchem huśtawkowym wywracają tygiel a masa szklana na stół się wylewa i rozprowadza równo wałkiem żelaznym. Do wałka przytwierdzone są dwie rączki miedziane, przeszkadzające tworzeniu się piany w miarę rozlewania się szkła. Szkło skażone w ten sposób, nie dałoby się należycie oziębić i pękałoby podczas przepuszczania go przez ogień. Operacya ta zasadza się na wprowadzeniu tafli do specyalnego pieca, w którym pozostaje przez kilka dni. Tak przepalona tafla, nieprzezroczysta jeszcze, kraje się dyamentem i doprowadza do żądanych rozmiarów. Krajanie to jest nadzwyczaj ważne i odbywa się bardzo delikatnie, zwłaszcza jeżeli szkło ma skazy.

Lana tafla jest szorstka, pełnu nierównych chropowatości i potrzebuje jeszcze polerowania. Operacya ta ma na celu nadanie obu powierzchniom tafli zupełnej gładkości i równoległości. W tym celu tafla przytwierdza się gipsem do nadzwyczaj gładkiej płyty kamiennej. Tak wkitowana tafla wraz z płytą wprowadza się pod blat żelazny ruchomy, posypuje żwirem i polewa wodą. Tarcie żwiru znosi chropowatości, wyrównywa powierzchnią i nadaje jej wygląd szkła matowego. Po wygładzeniu w ten sposób jednej powierzchni, zdejmuje się taflę, przytwierdza odwrotną stroną gipsem do płyty kamiennej i w ten sam sposób wygładza drugą stronę. Następnie biorą się dwie tafle szklane, oprawne w ramy drewniane, przesypują nadzwyczaj delikatnym proszkiem piasku, nakładają jedna na drugą i trą o siebie.

Ostateczne wygładzenie dokonywa się ręką lub mechanicznie, stosownie do rozmiarów tafli, zapomocą proszku szmerglowego, nadzwyczaj drobnego. W końcu

nadaje się tafli brzeg, tak zwany kant, zapomocą ścierania jej brzegów blatem poziomym żelaznym i proszkiem szmerglowym. Tak wygładzone tafle są jeszcze matowe, białe i potrzebują przejść przez szczotki filcowe, które nadają im ostateczny kolor, blask i owę przezroczystość, od której zależy wartość rzeczywista zwierciadła.

Fabrykacya zwierciadeł jest tem trudniejsza i delikatniejsza im tafla jest większa. Dawniej tafla mająca metr kwadratowy była już czemś nadzwyczajnem, a tafle większych rozmiarów, musiano składać z kilku części. Dziś kilkumetrowe tafle dają się z łatwością odlewać. We Francyi najkolosalniejsze i najpiękniejsze tafle zwierciadlane pochodzą z fabryki luster w Saint-Gobain, z którą żadna inna współzawodniczyć nie może.

* **Wysoki dom.** Amerykanie postanowili zbudować w Chicago 16-piętrowy dom z nowego metalu, glinu. Będzie to, nawiasem mówiąc, ostatni dom tak wysoki, gdyż władze amerykańskie wydały niedawno zakaz budowania domów wyższych nad 12 piątr. Wiązania budynku mają być zrobione z żelaza. Pomiędzy żelaznemi słupami ułożone zostaną cegiełki glinowe. Grubość każdej cegły wyniesie 5 centym., długość 80, zaś szerokość 50 centymetrów.

* **Podkowy z glinu.** Wyrób ten dwa lata temu był bardzo jeszcze drogi; trzeba było płacić za kilogram glinu 3000 złr., w przeszłym roku płacono już tylko 3 złr., bo wynaleziono sposób tanego wydobywania. Teraz wyrob glinu do tego stopnia został ułatwiony, że cena tego metalu nie jest o wiele wyższa od ceny żelaza, zaczęto z niego wyrabiać najróżniejsze przedmioty głównie dlatego, że jest nadzwyczaj lekki. Robią więc z niego podstawki, kałamarze, klucze i t. p., wybudowano nawet mały parowiec, a teraz podaje hanowerska leśnorolnicza gazeta, że próbują podków glinowych. Dotychczasowe próby są zadowalniające, bo chociaż podkowy są droższe, ale bardzo lekkie i po zużyciu lub zepsuciu nic nie przepada z pozostałego metalu, dającego się bez ubytku przetapiać.

ŻARTY.

— No cóż, Walenty — pan pyta — wrzuciłeś listy na pocztę?
— Wszystkie, co do jednego.
— A nie zgubiłeś tylko którego?
— Ho! ha! albo ja taki pustak, a że tam i czytać umiem, to jak tylko zobaczę, że na liście stoi „bardzo pilno“ zaraz taki list najpierw macham do skrzynki, aby prędzej doszedł.

W sądzie.

Sędzia: I jakże to było? jakiemi słowami on was obraził?
— On mi powiedział: ty chudobo jakaś.
Sędzia: I czego za tę obrazę żądacie?
— Niech mi zapłaci pięć złotych.
Sędzia: O to za dużo!
— Nie, proszę pana sędziego, teraz chudoba droga.

Chłopca zapłakanego, pyta ojciec o przyczynę.
— To Michaś uderzył mnie w plecy.
— Trzeba mu było oddać a nie beczeć.
— Oh, ja mu też oddałem wprzód niż mnie uderzył.

— Jak się nazywasz? — zapytał sędzia oszusta.
— Nie wiem panie.
— Jak to nie wiesz?
— Oto widzi pan sędzia ja jestem z bliźniąt, bo urodziło się nas dwóch i przy chrzcie dano nam imiona Piotr i Paweł, ale jak nas nieśli z kościoła, był wielki mróz i jeden z nas zmarzł; a ponieważ nie wiem, czy to ja zmarzłem czy mój brat, dla tego nie wiem, czy jestem Piotr czy Paweł.

Pewien Niemiec mieszkał 20 lat w Warszawie i nie mógł się wyuczyć mówić po polsku. Pewnego razu poszedł do restauracyi i nie mógł się jakoś dogadać, bo go nie rozumiano. Rozgniewany Niemiec wykrzyknie po niemiecku:
— A to przeklęte miasto! 20 lat chodzę i stołuję się w tutejszych restauracyach a nie umieją po niemiecku.

Ze skarbca prawd.

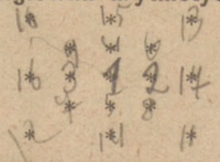
Sława jest jak ogień: gaśnie gdy jej się nie podsyca.

Ludziom więcej idzie o użycie, niż o samo życie; dla pierwszego poświęcają drugie.

SZARADA.

Pierwsza i druga kwiatów królowa
Biała, żółta lub różowa,
Zdobi ogród i pokoje;
Trzecia podwójnie z ostatkiem
Prześlicznym także jest kwiatkiem.
Wszystko razem imię moje (żeńskie).

Łamigłówka arytmetyczna.



Na miejsca gwiazdek wpisać liczby od 1 do 17, ażeby od środka do końca każdego promienia liczby dodane wynosiły sumę 20.

Zadanie alchemiczne.

Z pięciu liter niewielki ten wyraz się składa,
Przetopić go do zera jest mojem zadaniem,
By wiedzieć, czy lepszego czego nie posiada,
Będziemy go zmniejszali liter ujmowaniem,
A chociaż coraz mniejszą ilość otrzymamy,
Lepszy przecież gram złota niż miedzi trzy gramy.
Wyraz pięciogłoskowy, póki jest w całości,
Oznacza ryb obfitość. Gdy ma głosek cztery*)
To będzie metal, małej coprawda wartości,
A następnie weźmiemy tylko trzy litery,
I wyraz ten oznaczać będzie polowanie,
Z dwóch głosek znów zaimek; ostatnia zostanie.
Skutek tu, jak widzicie, zawiódł nasze chęci,
Lecz wam za to dopomógł w zamierzonym planie,
Bo ten, kto go otrzymał, cni korespondenci,
Już mojego zadania zdobył rozwiązanie.

---

*) Litery odejmować należy z lewej strony, od początku wyrazu.

Za dobre rozwiązanie przeznaczamy 20 nagród w książkach. Rozwiązania należy nadsyłać najpóźniej do końca Lutego.

„Znak,“ który przy rozwiązaniach nadesłać prosimy, umieścimy w Nr. 2.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Sz.